

Zaduszki Jazzowe dla Komedy

Po spektaklu „Holzwege” Katarzyny Kalwat z TR Warszawa, który opowiadał o życiu i twórczości kompozytora Tomasza Sikorskiego, na scenie Teatru Imka Lena Frankiewicz portretuje kolejny obraz tragicznie zmarłej ikony muzyki jazzowej i filmowej, Krzysztofa Komedy. Koprodukcja Imki i Teatru Nowego w Łodzi to intrygująca i błyskotliwa impresja, (wzbogacona jazzowym akcentem w wykonaniu Pawła Dobrowolskiego), na temat burzliwego życia muzyka, który zasłynął współpracą między innymi z Romanem Polańskim. Punktem wyjścia dla opowieści stały się wspomnienia jego przyjaciół, współpracowników i niedawno zmarłej żony, Zofii Komedowej, zarejestrowane w 1973 roku podczas kręcenia filmu dokumentalnego o artyście.

Krzysztof Komeda Trzciniński urodził się w 1931 roku. Po skończeniu szkoły średniej rozpoczął studia medyczne, wybierając specjalizację laryngologiczną. W latach pięćdziesiątych jego fascynacja muzyką jazzową przekształciła się w zawodową współpracę z profesjonalnymi muzykami, z którymi regularnie pojawiał się na festiwalach jazzowych i koncertach w całej Polsce. Zafascynowany modern jazzem założył zespół „Komeda Sextet”, który szybko stał się pierwszą polską grupą jazzową grającą muzykę nowoczesną. W 1958 roku rozpoczęła się przygoda Krzysztofa Trzcinińskiego z muzyką filmową. Powstały utwory do filmów Polańskiego „Nóż w wodzie”, Wajdy „Niewinni czarodzieje”, Nasfetera „Mój tato” oraz Morgensterna „Do widzenia, do jutra”. Od 1968 roku Trzciniński przebywał w Los Angeles, gdzie pracował z Romanem Polańskim nad muzyką do filmów „Dziecko Rosemary” i Kulika „The Riot”. W grudniu tego samego roku, w Los Angeles, wracając do domu z pisarzem Markiem Hłasko, uległ tragicznemu wypadkowi, w wyniku którego po kilku miesiącach przebywania w szpitalu, zmarł w Warszawie.

Życie Komedy to dobry scenariusz na film. Podobnie życie Marka Hłaski (Tomasz Karolak), który w spektaklu jest bohaterem drugoplanowym. Twórcy spektaklu, podobnie jak zrobiła to Katarzyna Kalwat, tworzą spójną choć chaotyczną mapę wspomnień, obrazów, wydarzeń, fragmentów spotkań i wypowiedzi ludzi, którzy trzymali się blisko Komedy. Sam bohater pojawia się na scenie jako młody, przystojny mężczyzna (w tej roli Mateusz Janicki) ubrany w beżowy golf i beżowe dzwony, charakterystyczne dla mody lat siedemdziesiątych. Obok niego pojawia się żona (dojrzała i starsza), która z perspektywy czasu wspomina pierwsze spotkanie z młodym Komeda, pierwszy spacer po Wawelu i pierwszy wypad do krakowskiego jazz-clubu. Obok pary przewijają się wybitne osobowości z ich epoki, których losy splótł się z losem artysty: Roman Polański, Marek Hłasko, Janusz Morgenstern czy Jerzy Skolimowski. Większość z bohaterów, którzy pojawiają się na scenie zmarła w późnych latach sześćdziesiątych, niektórzy, jak żona Komedy, odeszli już w XXI wieku. Fuzja teraźniejszości i przeszłości przybiera kształt nostalgiczno-groteskowej stypy, „balu wszystkich świętych”, wielkich ludzi kultury i muzyki. W finale staje się euforycznym korowodem zmartwychwstałych bohaterów, którzy w rytmie jazzowej improwizacji zdają się cieszyć tym co mają: niezwykłymi wspomnieniami z czasów świetności i młodości.

„Mówiąc o umarłych wszak mówimy o nas”. Słowa, które na początku spektaklu wypowiada Tomasz Karolak, to ideowe credo spektaklu Leny Frankiewicz. Spektaklu, w którym nadrzędnym tematem staje się apologia twórczego życia. Zaraz za nim skrada się jego największy wróg – przypadek, który przecina ludzkie szczęście, życie rodzinne, wielką karierę.

I choć spektakl opowiada losy Krzysztofa Komedy, to jego główną bohaterką staje się Zofia Komedowa, brawurowo zagrana przez Iwonę Bielską. Jej wspomnienia o mężu wypełnione są ogromną miłością, tęsknotą i oddaniem. „Tym czym była muzyka dla Krzysia, tym on był dla mnie. Nikt nie zrozumie za czym tęsknię.” Komedowa wspomina z dowcipem zdrady męża, którego na koncertach otaczał wianuszek młodych aktorek, przywołuje słowa własnej matki, dla

której Komeda, choć był utalentowanym muzykiem, nie posiadał prezencji i odpowiedniego wyglądu. „Ryż i kuternoga, to przestroga od Boga”. Zofia opowiada, jak ciężko było na początku utrzymać się z tworzenia muzyki jazzowej w Polsce, o odreagowywaniu wojny i stalinizmu poprzez zabawę w oparach alkoholu i papierosowego dymu do nieprzytomności oraz klubowe szaleństwa w modnych miejscach Krakowa. Wspomina o tym jak podczas spotkania w SPATiF-ie „dała w pysk” Jarosławowi Iwaszkiewiczowi, opowiada o Osieckiej. Iwona Bielska kreuje swoją bohaterkę jako kobietę wybuchową i dowcipną, szaloną i przedsiębiorczą. Ekstrawertyczkę, nazywaną „aniołem stróżem” polskich jazzmanów.

Punktem kulminacyjnym spektaklu staje się odtworzenie momentu śmierci Komedy. Śmierci owianej nutą tajemnicy i niedopowiedzenia. Był grudzień 1968 roku. Komeda wraz z fotografem Markiem Nizińskim i poetą Markiem Hłasko świętowali zakończenie pracy nad filmem „Dziecko Rosemary”. Wracając do domu, podczas spaceru stromymi ścieżkami Beverly Hills, Hłasko szturchnął Komedę. Muzyk stracił równowagę, upadł, uderzył głową o kamienie i stracił przytomność. Na scenie moment nieszczęśliwego upadku powtarza się wielokrotnie. To obraz, który we wspomnieniach żony staje się koszmarnym widmem, od którego nie może się uwolnić.

W spektaklu Leny Frankiewicz mnogość wątków i bohaterów, w pewnym momencie, przerasta strukturę spektaklu, wprowadzając chaos i przesadę. Na scenie nagle pojawia się Fryderyk Chopin (Adam Kupaj), wykonujący na pianinie jazzowe improwizacje, z długim i ciekawym monologiem o Polsce, ale sprawiającym wrażenie odrębnej, teatralnej historii, przyklejonej trochę na siłę do historii Komedy. Nie wspomnę już o Mii Farrow z nożem w dłoni, która pojawia się nagle, jakby wyjęta z filmowego kadru Polańskiego. Wątek zbędny, niepotrzebnie przedłużający narrację.

„Komeda” w reż. Leny Frankiewicz to piękny hołd złożony wybitnemu artyście, ciekawy spektakl, który staje się nostalgicznym spacerem po muzycznych zaświatach i wspomnieniach. Jest też dobrym wprowadzeniem do bliższego zapoznania się z historią i biografią Krzysztofa Komedy. Przede wszystkim z jego twórczością muzyczną, pięknymi jazzowymi i filmowymi numerami, z „Kołysanką” z „Dziecka Rosmery” Romana Polańskiego na czele.

Agnieszka Górnicka, Teatr dla was, 16/01/17